

był ten sam rozkład, mieszkania tu było więcej niż potrzeba, gdyż od tyłu znajdowała się duża kuchnia, spiżarnia, garderoba, i z osobnym wyjściem dość duży pokój, który p. Kazimierz zabrał na swój użytek. Małeńka szopa wraz z chlewikiem pod jednym dachem składały całe zabudowanie.

Słońce schylało już się ku zachodowi, przed czerwonym domem gromadka dzieci uwijała się żwawo przy pracy. To Jadwinia, Eweia i Kazio kopią pod oknami ziemię; ma tu być założony taki ogródek, jak przy własnym domku, mówią dzieci, a chociaż to nie pora na sianie i sadzenie kwiatów, jednak Jadwinia utrzymuje, że jak przesadzą całe kępki astrów, które im nowy właściciel zabrać pozwolił, to się przyjmą z pewnością. I przed domem skopany już był kłomb duży dosyć, zasiany trawą, której nasienia przyniósł Jadwini p. Garbski, dowiedziawszy się od Kazia o kłopotcie dziewczynki, rozpytujać wszystkich, gdzieby dostać tego nasienia. W pobliżu kręci się kilka kur czubatych, które mają niekłamano ochotę wyjść przysiąż trawę, gdyż potem, jak wyrosnie i zazieleni się, już im smakować nie będzie. Ale chętkę tę niedobłą poskramia Figielek, siedząc na straży, i pilnując dzielnie nierozważnych szkodników. Czubatki z widoczną niechęcią spoglądają na czarnego stróża i pragnęłyby bardzo, aby się zdrzemnął na chwilę, ale Figielek rozumie dobrze, co to jest obowiązek, i wiernie się z niego wywiązuje.

Gdy tak dziatwa pracuje na dworze, bo jest to godzina wypoczynku dla niej po pracy, w pokoju po prawej stronie, przy otwartym oknie, siedzi Hanka, i szyje jakąś różową, mocno sfałdowaną spódnicę. Na twarzy dziewczęcia niema smutku ani zniechęcenia, przybył tylko wyraz powagi i słodyczy. Ciemne oczy nie straciły nic ze swęj figlarnęj żywości, około ust rumianych wije się dawny uśmiech wesołości i swobody. Przy stole stoi Terenia i przykłada formę do czarnego materiału, obracając ją na wszystkie strony z tą niepewnością, która znamionuje nie obycie się z jakąś pracą. Dziewczę pobałdło trochę przez te dni kilka, a ściągnięta chmurnie w tej chwili brew ciemna świadczy o wewnętrzném niezadowoleniu, lub cierpieniu. Tłumi westchnienie, aby go starsza siostra nie posłyszała, i z niezmaczoną cierpliwością stara się dopasować upartą formę. Ale wszelkie usiłowania nie odnośszą pożądanego skutku, z widoczną więc przykrością zwraca się do Hanki, mówiąc:

— Nie mogę na żaden sposób dopasować téj formy tak, aby starczyło materiału na kaftan, jak to sobie zastrzeżono; próbuję na wszystkie strony, i zawsze mi na jeden rękaw brakuje.

Na te słowa Hanka uśmiechnęła się nieznacznie, i kładąc swą robotę, zbliżyła się do stołu:

— Będziemy tak wyciągać i nadeciągać — rzekła wesoło, — że starczyć musi, kiedy sobie tego życzyła organiszczina. Pozwól, siostrzyczko, mam trochę więcej w tém wprawy, to może poradę na to.

(d. c. n.)

## BABUNIA.

NOVELKA.

Dzień był piękny, pogodny, sierpniowe słońce gorącemi promieniami oblewało pola i łąki niewielkiej wioski Lipówki w okolicach miasteczka N. w Poznańskiem. Na ganku skromnego, lecz schludnego i miłego dworku, stała młoda, piętnastoletnia może panienka. W jednę rękę trzymała duży kapelusz słomiany, drugą przysłaniała oczy od zbyt rażącego światła i spoglądała na drogę, wiodącą do pobliskiego lasu. I snąc spostrzegła w końcu to, czego tam szukała, gdyż uśmiechnęła się z zadowoleniem sama do siebie, włożyła kapelusz na głowę, spiesznym krokiem, biegnąc prawie, podą-

żyła ku bramie podwórka i poszła dalej ową drogą, na którą patrzała przed chwilą z takim nateżeniem.

Od strony przeciwnęj, a więc od lasu, szedł młody chłopak ze strzelbą przewieszoną przez ramię, widocznie jednak nie widział śpieszącej naprzeciw niemu panienki, postępował zwolna, w dziwném jakimś zadumaniu, z oczyma w ziemię wlepionemi. Gdy już byli o kilka kroków od siebie, panienka nagle parsknęła śmiechem. Chłopak wstrząsnął się cały, przystanął, podniósł wzrok na nią, lecz nie odpowiedział podobnym wybuchem wesołości, nawet się nie uśmiechnął.

— Cóż dziś taki zachmurzony, braciszku — rzekła młoda dziewczynka, stając obok niego i z figlarnym wyrazem spoglądając, to na strzelbę, to na próżne ręce myśliwca — podobno znowu polowanie ci nie dopisało, gorzej coś nawet niż zwykle, bo nie widzę nic... nic... ani wróbla, ani marnej wrony.

— Zostaw te niemądre żarty, moja Zosiu — odparł chłopak, marszcząc się jeszcze bardziej, a z oczu jego strzelały błyskawice gniewu — jestem zły, powiadam ci, zły... jak pies!

— Ale nie na mnie przecież, Janeczku — mówiła panienka zawsze na wpół żartem, składając rączki błagalnie — cóżem ja winna, żeś ty spudłował?... — A któż ci mówił, żeś spudłował?

— Nie spudłowałeś? słyszałam jednak dwa wystrzały, a tymczasem nie oglądam... skutku — i znowu mimowolnie żartobliwy uśmiech zaigrał na jej ustach.

— Otóż widzisz, żeś się pomyliła — wykrzyknął Janek z żywością — bo dziś właśnie powiodło mi się doskonale, zastrzeliłem ni mniej ni więcej, wyobraź sobie, Zosiu, zastrzeliłem zająca.

— No i cóż, uciekł?

— Tobie ciągle kpiny w głowie, a ja zły jestem, zły... jak...

— Jak pies, już to słyszałam, ale to sensu nie ma, bo nie wszystkie psy są złe. I na kogoś się tak złościsz, braciszku?

— Na kogo? na tego obrzydłego Niemca. Oj, żebym ja mógł!... — i chłopak zaczął wygrażać pięściami, zaciskając zęby.

— Schwartz! spotkałeś Schwartz'a i wyrządził ci jakąś przykrość. Mój Boże, co to za nieszczęście, że ten niedobry człowiek jest naszym sąsiadem.

A gdy to mówiła, twarzyczka jej, dotąd tak wesoła i uśmiechnięta, zasmuciła się nagle. Oparła rączkę na ramieniu brata i oboje w milczeniu szli zwolna ku bramie dworku.

— Ach, Zosiu — mówił po chwili młody chłopiec — pojmuję teraz i odczuwam to, co ten Floryan Szary, protoplasta rodu Zamoyskich, mówił królowi na placu boju, że gorzej od rany najcięższej dokuczy zły sąsiad.

— To prawda; odkiedy ten Schwartz kupił Maliniec, ustawiczny mamy niepokój. To wodę na rzece zatrzyma, żeby ojcu młyn stanął, to trzodę swoją wpuszczać każe w nasze kartofle, to znów sługi nam przesładuje Bóg wie za co; umie wynaleźć najrozmaitsze sposoby dokuczenia. Ale cóż on tobie mógł zrobić, mój Janku, i gdzieżeś ty go widział?

Chłopak westchnął, a raczej jęknął prawie, a że tymczasem doszli już do ganku, więc postawił strzelbę w kacie i rzucił się na ławeczkę, Zosia usiadła przy nim i pieszczotliwie oparła główkę na jego ramieniu.

— A to trzeba szczęścia — mówił Janek, który widocznie miał także ochotę wynurzyć się przed siostrą ze swoim zmartwieniem — trzeba szczęścia, żeby mi to obrzydłe Niemczyko dziś właśnie wlaźło w drogę. Wystaw sobie, strzeliłem raz do jakiegoś ptaka, nie trafił; idę dalej, aż tu pod drzewem, o trzy kroki, powiadam ci, przykucnął sobie zając. Czy mnie nie widział, czy z przestachu głowę stracił, dość że siedzi, ani się poruszy. Ha! powiadam, nie boisz się, myślisz, że nie trafię, poczekaj, jaż ci tu dam! I jak wymierzyłem, jak przyłożyłem się, palnąłem i padł na miejscu. Chciałem biedz zaraz do domu i głupstwo się stało, zemdlałem nie zrobił. Ale pomyślałem sobie: cóż mam znów pędzić za-



raz, jak dzieciak, aby się czempredźej pochwalić! Przejdę się trochę jeszcze po lesie, a nuż kogo spotkam... niech wiedzą ludzie, że nie dla zabawki strzelbę noszę. Związałem szarakowi łapki sznurkiem i niosłem go na plecach, a taki był ciężki, powiadam ci... szedłem sobie z jaki kwadrans i dłużej ścieżką leśną, myśląc o niebieskich migdałach, zapomniałem na wieki, że nasz laszek kończy się przy tym kopcu, nie spostrzegłem widać kopca; aż tu nagle, ni ztąd ni zowąd, spotykam się oko w oko ze Schwartzem.

— Ach, Janku, Janku! — przerwała Zosia, załamując ręce i zrywając się z ławeczki — jak mogłeś to zrobić! Ojciec tyle razy zalecał, żebyś nie wchodził nigdy na grunta tego niegodziwca. Czy nie pamiętasz, co było z biedną Katarzyną za to, że niby to parę orzechów zerwała w jego lesie.

— Nie sądzisz przecież, że rozmyślnie to zrobiłem; zagawroniłem się, ten zając podobno zawrócił mi w głowie, pyszny temat do powiastki moralnej: próżność ukarana.

— Ach! nie potrzebujesz opowiadać reszty — rzekła Zosia, siadając z westchnieniem obok brata i twarz ukrywając w dłoniach — domyślałam się wszystkiego, ten niegodziwiec odebrał ci zająca, jako niby to na jego gruntach ubitą zwierzynę.

— A co się przytém nagadał! Wiesz co, tak się ucieszyłem tym zającem, bo pierwszy raz w życiu zdarzyła mi się taka gratka, a jednak wolałbym być i teraz spudłować, nie byłbym się nasłuchiwał tylu obelg... ach! lepiej o tém nie mówić!...

— Lepiej nie mówić, braciszku — powtórzyła Zosia — zapomnij o tém, i koniec.

— Tak, zapomnij! czy to tak łatwo zapomnieć!

— Czy nie wiesz, Janku — mówiło dziewczę, chcąc myśli brata odwrócić od przykrego przedmiotu — poco ojciec pojechał do miasta?

— Albo co? musiał mieć jakiś interes, cóż cię to obchodzi?

— Ja sama nie wiem — rzekła Zosia, zniżając głos — ale coś u nas dziwnego się święci. Babcia od kilku dni jest jakaś nie swoja, i mama także, a dziś słyszałam, jak ojciec powiedział wyjeżdżając: To niepodobna, to byłoby barbarzyństwo, ale dla pewności się rozytam, w mieście mnie objaśnią.

— A mama nic ci nie powiedziała?

— Zbyła mię ni tém ni owém, i babcia także, obie mówiły, że niema co martwić się przedwcześnie, ja też na chwilę zapomniałam o tém, biegłam tak wesoło na twoje spotkanie, taką miałam ochotę naśmiać się z twojego chybionego polowania...

— A widzisz, nie śmiej się dziadku z cudzego upadku.

Wtém zaturkotało na drodze, Zosia zerwała się, przysłoniła oczy ręką, spojrzała:

— Ojciec! — zawołała.

Po chwili brama rozwarła się na oścież i na podwórko wjechała bryczka, zaprzężona dzielną parą koni. Pan Wilski, ojciec dwojga znajomych naszych, był to człowiek w sile wieku, przyjemnej powierzchowności. Zeskoczywszy z bryczki, uściśkał dzieci, które podbiegły naprzeciw niemu, ale nie przemówił do nich ani słowa, nie uśmiechnął się nawet, usta miał zaciśnięte, a na czole jego rysowała się głęboka bruzda. Nie zatrzymał się na ganku, lecz zwolna i bez pośpiechu wszedł do domu; rodzeństwo spojrzało na siebie ze smutkiem.

— Coś jest — szepnęła Zosia — coś niedobrego przywiózł ojciec z miasta.

— Chodźmy — rzekł Janek — musimy się przecież dowiedzieć, co to takiego.

Była to pora obiadowa, czekano właśnie na pana Wilskiego z podawaniem do stołu, Janek i Zosia weszli więc prosto do jadalnego pokoju, lecz nie zastali tam nikogo, chociaż waza stała już na stole. Z przyległego pokoju dał się słyszeć jęk cichy i przygłuszone szlochanie. Zosia przestra-

szona wbiegła tam natychmiast, brat pośpieszył za nią. Smutny widok uderzył ich oczy. Ojciec chodził po pokoju w ponurém milczeniu, ze złożonemi na piersiach rękami, sędziwa, ośmdziesięcioletnia babcia siedziała, jak zwykle, na swoim fotelu, po twarzy jej pomarszczonéj i wychudléj spływały grube łzy, u nóg jej klęczała pani Wilska i głośno łkała, ukrywając głowę na kolanach staruszki.

— Ojcie, mam, co to jest, co się stało! — wołała Zosia, wybuchając płaczem, choć jeszcze nie wiedziała, jakie nie-szczęście spadło na jej ukochanych.

— Ojcie — mówił Janek, chwytając rękę pana Wilskiego



Krajobraz meksykański.

— Babcu, cóż to znaczy, dla czego rozstać się musimy, któż cię wypędzać może? — wołała Zosia, która i teraz jeszcze nie a nie nie rozumiała. Janek milczał i z trudnością powstrzymywał łzy, które nie przystoją mężczyźnie.

— Posłuchajcie — rzekł ojciec — nie wspominaliśmy wam o nicém, gdyż trudno było uwierzyć, aby prawo tak nieludzkie z całą surowością mogło być wykonane. Dowiedziałem się jednak w mieście, że dla nikogo niema pardonu. Rząd pruski wydał rozkaz wydalić z kraju wszystkich Polaków, mieszkających za pasportami. Ludzie niewinni, którzy

rozstawali — mówiła pani Wilska — miałam rok zaledwie, gdy ojciec umarł; mama była wówczas młoda i piękna bardzo, lecz od téj pory nie zdjęła żałoby, wyrzekła się świata, rozrywki, poświęciła się całkowicie dla mojego szczęścia, wiem dobrze...

— Co też mówisz, kochanko — przerwała babcia — czyż to matki poświęcają się dla dzieci? Tyś była zawsze najlepszą córką dla mnie, w mężu twoim pozyskałam przywiązaniego syna, byłam tak szczęśliwa z wami... — i znów łzy ciche spływały po sędziwém obliczu. Widok to był rozdzierający i Zosia zaniosła się głośnym płaczem, a i Janek, zominając o tém, co przystoi lub nie przystoi mężczyźnie, płakał, jak małe dziecko.

— Ojcie — zawołała wreszcie Zosia, powstrzymując łkanie — a czy my nie moglibyśmy przenieść się razem z babcią do Krakowa?

— A to prawda — dodał Janek — co nam tu za rozkosz teraz, z tym sąsiadem; niechby sobie i Lipówkę kupił, tyle razy przysyłał do ojca i drogo chciał płacić. Gdyby tak na mnie...

(d. n.)

## KRAJOBRAZ MEKSYKAŃSKI.

Każda roślina ma jakiś zakątek świata, w którym najbujniej się krzewi, najobficiej wyrasta. Taką ojczyzną dziwacznych kaktusów, u nas w doniczkach hodowanych, jest Meksyk, a zwłaszcza pewna część Meksyku, gdzie grunt piaszczysty, kamienisty, pozbawiony wilgoci, nie sprzyja wcale innéj roślinności. Nieraz już obszerniej opowiadaliśmy czytelnikom naszym o rozlicznych gatunkach kaktusów, nie będziemy więc się powtarzać. Rysunek nasz dostateczny o tém daje wyobrażenie, jakich rozmiarów dochodzą kaktusy w Meksyku. Nad morzem Śródziemném rośliny te tak doskonale się przyswoiły, że dziko rosną, tworząc olbrzymie żywopłoty,

## SPRYTNY WALEK.

KOMEDYJKA W TRZECH AKTACH.

przez Kazimierę.

(Dokończenie).

ZOSIA.

Jakiś koncept niesmaczny.

OJIA.

Kto to mógł jednak napisać?

JANKA.

Wyrwał się z konceptem, jak Filip z konopi.

JADWINIA.

Toż się przyznał najpierw, że ma gorączkę, musiało potem przystąpić maligna.

MICA.

Ktoś bardzo niemądry ten list wymyślił.

WALEK (przystępując do stołu).

E, niech ta państwo już tak nie skalują, bo choć ja ta nie bardzo nauczały, ale mego panica, co kocham to kocham, i tak mi az na syrcu mgli, jak ta panienki tak wydziwiają na panica.

PANIEŃKI (razem).

Na panicza? a cóż to panicz ma wspólnego z listem?

WACIO (pomieszany).

Mój kochany, nie wtrącaj się do rozmowy, i idź już do kredensu, nie jesteś tu potrzebny.

go — powiedz nam wszystko, nie trzymaj nas w téj strasznej niepewności.

— Uspokójcie się, dzieci — przemówiła babcia, nim jeszcze ojciec zdołał odpowiedzieć — wielka boleść nas dotyka, ale powinniśmy ją znieść mężnie. Chodźcie tu do mnie, Zosiu, Janeczku, powiem wam sama, co się stało. Oto musimy się rozstać, wypędzają mnie od was; niewiele mi już życia pozostało, nigdy nawet nie pomyślałam o tém, aby mi przyszło kości swoje złożyć pomiędzy obcymi... ale Bóg tak chciał, niech się stanie wola Jego święta. Zanim to byłam szczęśliwa, kochaliście mię wszyscy, ach! i ja was tak kocham bardzo!... lecz wola Boża, wola Boża, dzieci.

tu od lat wielu znaleźli przytułek i spokojny kawałek chleba, wygnani są, jak zbrodniarze.

— O mój Boże! — krzyknęła Zosia, zrozumiałwszy nagle wszystko.

— Babcia tu mieszka za pasportem! — rzekł Janek — zupełnie o tém zapomniałam.

— Któż mógł przewidzieć coś podobnego — mówił pan Wilski — matka wasza była jedynaczką, mieszkała w Krakowie, a gdyśmy się pobrali, babcia, która oprócz niéj nie miała na świecie nikogo, sprzedała dom swój i przeniosła się do nas.

— O, bo myśmy się z mateczką drogą nigdy w życiu nie



WALEK.

Bogać, niepotsebnny, co ta tak długo udawać, juz zeby panienki psestały wydziwiać, to powiem odrazu, co to mój panie taki list wystychtował.

ZDZISŁAW.

Pleciesz! alboż to widziałeś?

WALEK.

Co ni miałem widzieć, a pan Zdzisław to niby psyjaciel, a pozwoi, co tak panica ogadują.

HALINKA.

Przecie mówiłeś, że list przyniósł jakiś posłaniec, a potem *wzion* i poszedł.

WALEK.

To tak ino było na zarty, i zeby panienki były tylo gadały, co mój panie koncept, to ja nic, ze mój panie niemadry, to jesce nic, ale ze mój panie kochany ma być Filip, to juz tego moja dusa nie mogła ścirpić.

WSZYSCY (*śmiejąc się*).

Ha, ha, ha, doskonale, ha, ha, ha.

ZOSIA (*do Wacia*).

Więc to pan Wacław autorem tego listu?

MICIA.

Ach! przepraszam za sąd zbyt ostry.

JANKA.

Więc to Filip z Konopi tak oburzył tego pocziwego chłopca!

WACIO (*zakłopotany*).

Doprawdy nie wiem, jak się mam bronić, ten *poczciwy chłopiec* postawił mnie w kłopotcie.

HALINKA (*śmiejąc się*).

„Kto pod kim dołki kopie, sam w nie wpada” chciałeś, kochany kuzynku, wprowadzić mnie w ambaras, a tymczasem nasłuchałeś się tych nieprzyjemnych zdań o swym liście.

WACIO (*z determinacją*).

A niech tam już wszystko odrazu się skończy; tak, chciałem zawstydzić Halinkę, aby ją poprawić z grzechu, jakim jest pogarda dla ojczystej mowy, i jakoś nie udało mi się nawrócenie.

HALINKA.

Nawrócenie się udało, w czém masz dowód, że się przyznałam do winy.

JADWINIA.

I nie powiesz nigdy, że nasz język brzydki i twardy?

WACŁAW.

I nie powiesz, kuzynko, że to taki *język spopolitowany*?

HALINKA.

Wstydzę się doprawdy, że mogłam takie zdania głosić, a co więcej być przekonaną, że mówię rozsądnie.

ZDZISŁAW.

A co będzie, panno Halino, z Mickiewiczem?

HALINKA (*z uśmiechem*).

Za karę nauczę się na pamięć Konrada Wallenroda; właśnie przed podwieczorkiem spostrzegłam tę książkę na półce panny Justyny.

ZOSIA.

Kiedy się więc nawróciłaś, kochana cudzoziemko, to powiedz nam, z kąd ci takie zamiłowanie do obcych języków zrodziło się w duszy?

HALINKA.

Mam przyjaciółkę, która podróżując rok rocznie z rodzicami, i mając guwernantki same cudzoziemki, wpłynęła tak na moje przekonanie, że wstydem jest mówić po polsku i znać ojczystą literaturę. Kochając ją, uwierzyłam temu, co mówi, i chcąc być jej równą, umyślnie kaleczyłam nasz język, ale wtedy tylko, gdy nie słyszała mama lub nauczycielka.

MICIA.

Porzuć taką przyjaciółkę, co cię do złego wiedzie.

JANKA.

Wyrzeknij się jej, niewarta miłości ta, co nie kocha ziemi, na której się zrodziła.

ZOSIA.

Żle mówicie, kochane moje, obowiązkiem Halinki jest teraz pracować nad zmianą przekonań przyjaciółki.

ROMAN.

Ja tego samego jestem zdania, co i panna Zofia.

WACIO.

Przy tém zawstydzeniu mojem, wyszło mi z pamięci, że jutro Florek przyjedzie. Ba! ale kto nam teraz będzie tłumaczył, co ci cudzoziemcy będą prawili?

JADWINIA.

Kiedy tak już oliwa na wierzch wychodzi, to i ja powiem prawdę, że z ciocią Rudzką przyjedzie ciocia Lińska i to owa miss Lena, a ten Włoch, o którym Florek pisał, to kolega pana Zdzisława, który od dwóch tygodni bawi u wujostwa Rudzkich.

ZDZISŁAW.

Mój kolega? czy nie Janek Zawicki?

JADWINIA.

Ten sam; a ten figiel z Angielką to wymyśliła ciocia Lińska, która z listów mej mamy wiedziała, jak Halinka udaje cudzoziemkę, chciała więc przed przybyciem dać poznać swojej córeczce, jak to miło udawać.

HALINKA.

Oj, że niemiło to nie, na samą myśl jutrzejszych gości doznawałam bardzo przykrego uczucia. Doprawdy, nie wiem co ja w głowie miałam, chcąc wam imponować niby. Ach! ta Izia, ta Izia, jak ona przewróciła w mej biednej głowinie; ale poczekaj, kochanko, przewrócę ja w twojej, zemszczę się, muszę się zemścić i Izję oduczyć tego paplania, jak papuga.

WALEK.

Panicu, czy juz nie będą panica wyzywać? to może ja juz nie potsebnny, pójdę do kredensu, bo jak ten Paweł wróci a nie będzie poumywane, to się będzie znów jadował.

WACIO.

Idź, idź, ale umyśliłem sobie teraz poprosić ojca, aby cię wziął do paszenia źrebąt, bo ten Paweł zbyt często się na ciebie jadowi.

WALEK (*z radością*).

Panicu złoty! i juz się nie bede uczył na tego tam lokaja? (*chce ująć Wacia za kolana, na co ten nie pozwala*). O niechże paninowi Pan Jezus nagrodzi, a toć cłek odzyje psy tych konikach kochanych. O la Boga! chyba osialeję z radości, a Pawłowi to ctyry figi pokaze, jak nie będzie widział.

ZDZISŁAW.

Jakoś i ty, mój Wacku, przejrzałeś nakoniec i zrozumiałeś, że ojciec lepiej się zna na ludziach, niż ty. No, chwała Bogu, wszystko się na dobre obróciło, i jesteśmy zadowoleni.

MICIA (*do Halinki*).

Mogę ci się teraz przynazać, że mówię wcale dobrze po francuzku i po niemiecku, niemniej Zosia i Janka, i umyślnie udawałyśmy przed tobą nieznanomość tych języków, abyś tém więcej była dumną ze swęj umiejętności.

HALINKA (*grożąc im*).

Niedobre! ale za karę do żadnej z was ani się odezwę inaczej, jak po polsku, nie będziecie więc miały przyjemności mówić ze mną obcemi językami.

ZDZISŁAW.

Brawo! jutro, panno Halino, przeczytamy sobie głośno śliczną sielankę Brodzińskiego „Wiesław”.

WALEK.

Panicu, czy ja zaraz mogę iść do źrebaków? polecę duchem na pole, wypędzę Jantka, i juz do samiuśki śmierci bede psy koniach.

WACIO.

Poczekaj, mój kochany, muszę pierw ojca o tę zmianę poprosić.

JADWINIA.

Ciągle mam w myśli, mimo wszystkiego, że jesteście głodni, zapraszam was więc na poprawiny do ogrodu, ale tam już się zrzekam gospodarowania.

WSZYSCY (*zabierając się do wyjścia*).

Będziemy tam sobie sami gospodarować, chodźmy chodźmy.

*Zasłona spada.*



# ZIEMIA OGNISTA.

PRZYGODY PODRÓŻNIKÓW NA MORZU I LĄDZIE.

przez **Mayne-Reid'a**.

(Dalszy ciąg).

Ten ruch, to życie niespokojne, hałaśliwe, niczem jeszcze było w porównaniu z tém, co się działo pod wodą, wśród poplątanych splotów łodyg i liści wodorostów. Tam pożerający i pożerani liczyli się na legiony, a nie tylko ilością zadziwiali, lecz różnorożnością gatunków. Jak powiedział znakomity przyrodnik Darwin, w ogromnym tomie zaledwieby się pomieściły znane nazwy tych wszystkich stworzeń, a ileż jest jeszcze pomiędzy niemi nieznanych!

Na wszystkich liściach olbrzymich szuwarów, oprócz tych tylko, które się wznoszą ponad powierzchnią wody, osadzone są skorupy zwierzkorzewów; one to im nadają barwę białawą i zadziwiającą sztywność. Te rozgałęzienia, tak delikatne, że przypominają tkanę pajęczą, zamieszkałe są przez drobne istoty żyjące. Na najdrobniejszych gałązkach siedzą uczipione muszle, ślimaki, mięczaki najrozmaitsze. Wszędzie zwieszają się, jak grona żywe, niezliczone skorupiaki. Z jednej zerwanej gałązki szuwaru można wytrząść nieskończoną ilość tego mrowia. Te niezmierne lasy wodne południowej półkuli mogą iść w porównanie z niezmiernymi lasami stref zwrotnikowych. Lecz co do ilości gatunków, z pewnością jedna mila kwadratowa szuwarów mieści ich w sobie daleko więcej, niż całe puszcze Brazylii.

Jeżeli widok ten zadziwiający był w czasie przypływu morza, to cóż dopiero, gdy odpływ następował z kolei, wydając na jaw tajemnice oceanu. Na szarem tle skał odkrytych ukazywały się ogromne plamy ciemniejsze, a były to tysiące fok, przitulonych do siebie i uczipionych na skale nakształt ślimaków. Takie tam tego było mnóstwo, że z daleka wyglądało jak masa jakaś ruchliwa, galaretowata, rozlana na szerokich obszarach skał nadbrzeżnych.

— I pomyśleć — mówił ze smutkiem Seagriff, spoglądając na to — że możnaby temi futrami przystroić wszystkie panie w Nowym Yorku i wzbogacić się w dodatku. Zeby tak tylko mieć jaki taki okręt i upakować nań te futerka, miałby człowiek kupę złota!...

A gdy nikt na tę uwagę nie odpowiedział ani słówkiem, stary mówił dalej:

— Dziwne zwierzęta! widocznie mają nas za nic, ani im w głowie, że my na nie patrzymy. Tak zupełnie, jak te głupie bezłotki. Dopiero gdyśmy się do ich piskląt zabrali, spostrzegły przecież naszą obecność. Można ztąd wnosić, że mieszkańcy Ziemi Ognistej nie nawiedzają nigdy tej wyspy, bo zwierzęta widocznie nie znają wcale ludzi.

Słuchacze i tym razem milczeli, więc stary cieśla uważał za stosowne dodać jeszcze:

— Jeżeli się będziemy trzymali z tej strony wzgórza, możemy być spokojni, że ci lotry ludożercy nie dostrzegą nawet dymu naszego ogniska. To już dużo znaczy. Upatrzymy sobie jakąś dogodną kryjówkę, gdzie można będzie urządzić mieszkanko, a mamy przynajmniej pewność, że nam tu nie zabraknie żywności, bo ryb i ptactwa jest dostatek. Ja powiadam, że mogliśmy daleko gorzej trafić. A tak nic nam nie pozostaje, tylko czekać cierpliwie przybycia jakiego okrętu, który nas ztąd zabierze. Tak źle przecież nie będzie, ażebyśmy go się nie doczekali za jaki rok, dwa... A tymczasem mogliśmy sobie porządny zapasik tych futer przygotować; toby się na potem zdało.

Kapitan Ganey nie przerywał staremu cieśli, a gdy skończył, rzekł:

— O jednej rzeczy tylko zapomniałeś, stary przyjacielu: oto, że brak nam tu jedenastu naszych marynarzy i rodzonego mego syna. Łódź, która ich wiozła, mogła przybić do tego lądu, a jest to jedyna moja nadzieja... Czyż możesz

przypuszczać, że będziemy siedzieli obojętnie na tej wyspie, nie usiłując nawet ich odszukać, nie spiesząc im na ratunek, jeśli są w niebezpieczeństwie?...

— Ja to wszystko pojmuję, kapitanie — rzekł zacytowany żeglarz, zawstydzony nieco, że prawili tak długo bez głębszego zastanowienia i nie ugryzł się wprzód za język, nim niedorzeczność powiedział — ale ja myślałem o pani i o panience.

— Żona moja i córka gotowe są podzielić wszystkie nasze trudy i niebezpieczeństwa, same mi przypominały, że trzeba myśleć o odszukaniu wielkiej łodzi.

Stary cieśla nie powiedział już ani słowa i milczał przez dzień cały. Lecz gdy słońce zniżyło się na zachodzie, poprosił kapitana o lunetę, wszedł na wzgórze i długo wpatrywał się w oddalone wybrzeża lądu, jakgdyby tam szukał jakiegoś przedmiotu, sobie jedynie znanego.

## VIII.

### Osobliwsza lawina.

Nazajutrz słońce weszło jasno na pogodnym niebie, co rzadko się zdarza w okolicach Ziemi Ognistej, ustawicznie prawie we mgle zanurzonej. Kapitan wydał rozkaz, aby wszyscy gotowi byli do podróży, gdyż zaraz po śniadaniu wyruszą; cała załoga okazała ztąd szczerze zadowolenie. Każdy rozumiał to dobrze, iż nietylko obowiązek, lecz i własny interes nakazywał odszukać towarzyszy, którzy do wielkiej swej łodzi zabrali prawie wszystką broń i amunicję z okrętu. Seagriff nawet żadną uwagę nie oziębił powszechnego zapału, wziął tylko na stronę kapitana i rzekł do niego:

— Nikt panu nie może wziąć za złe, kapitanie, że pragniesz odszukać porucznika i resztę naszych towarzyszy. Ale ponieważ już stanowczo wybieramy się w podróż, czy nie sądzisz pan, że należałoby przynajmniej wybrać jaknajdogodniejszą drogę, ażeby sobie zapewnić o ile możliwości sprzyjające warunki w tym przedsięwzięciu?

— Niewątpliwie — odrzekł kapitan — i jeżeli masz jakie własne przekonania pod tym względem, mój Seagriffie, powiedz mi to z całą otwartością.

— A więc dobrze, kapitanie. Wiadomo panu, że jestem starym włóczęgą, od lat trzydziestu żegluję po tym morzu i tuszę sobie, że je znam troszeczkę... Wczoraj przed zachodem słońca wszedłem na tę wyżynę z lunetą, której mi pan łaskawie pożyczyłeś i czy wiesz pan, co obaczyłem w stronie północno-wschodniej?... Obaczyłem górę, znaną mi dobrze oddawna, ze szczytem śniegiem ubielonym, wznoszącym się o kilka tysięcy stóp wyżej od wszystkich innych, które ją otaczają. To jest góra Sarmiento.

— Czy podobna! — wykrzyknął kapitan zdumiony — Sarmiento? ależ w takim razie wyspa ta jest o wiele więcej na południe wysunięta, aniżeli przypuszczałem. Znajdujemy się więc chyba niedaleko zatoki Spustoszenia?

— Jeżeli się nie mylę, kapitanie, a prawie pewny tego jestem, znajdujemy się prawie tuż przy niej. Otóż i to coś znaczy, że wiemy przynajmniej, gdzie jesteśmy. Z drugiej strony, jeżeli idzie o odszukanie wielkiej łodzi, nie mogliśmy trafić szczęśliwiej; nie licząc, rozumie się, niebezpieczeństwa spotkania krajowców.

— Dla czegoż powiadasz, żeśmy trafili szczęśliwie?

— Bo ta mniemana zatoka bynajmniej zatoką nie jest, tylko cieśnina; a ta cieśnina, znana dobrze wszystkim żeglarzom, którzy poławiają wieloryby w tych stronach, znana i mnie także, łączy się z drugą wielką cieśniną Darwina i prowadzi wprost do kanału Beagle'a...

— Czy wiesz to na pewno? — zawołał z żywością kapitan, chwytając ramię starego cieśli — na wszystkich mapach zatoka Spustoszenia przedstawiona jest, stosownie do swej nazwy, jako przestrzeń wodna z trzech stron lądem otoczona, zupełnie zamknięta!...

--- Mapy się mylą, kapitanie; wierz pan staremu wilkowi morskemu, który wie, co mówi. Czy sądzisz pan, że ci, co mapy rysują, byli tu kiedy? Ani im to w głowie, zostawiają



**Zadanie konikowe.**

(Dla Wiochny z pod Lublina od Wiochny).

i	mi	tu	u	pło	na	krę	ra
ca	ję	na	i	na	snem	nie	nie
zie	bie	goń	szo	drze	czy	tu	giem
ta	ne	mią	Te	szy	wio	bie	jak
sie	mną	tu	ły	o	szy	słou	nie
zwie	ni	raz	w ci	ży	sły	krę	już
za	le	ludz	ta	by	łem	stóp	ca
gdy	rzę	ło	ko	kich	o	nie	ci

**SYNONIMY.**

Upominek — Odgłos — Koło — Czulość — Szpilecznica — Gród — Korab. — Wynaleźć synonimy tych wyrazów, których pierwsze litery utworzą pseudonym poetki.

**ZAGADKA.**

Jakim językiem mówią koty?

(Na odgadnięcie pozostawiamy trzy tygodnie, pseudonimy wszystkich czytelników, którzy nadeślą trafne rozwiązanie, będą wymienione. Ciekawa rzecz, czy dużo takich się znajdzie?)

**ROZWIĄZANIA DO N-ru 6-go.**

**Zagadki:**

Sa — ra — ban — da.

**Łamigłówki zgłoskowe:**

Para — Indyk — Ogon — Słońce — Elbrus — Nero — Kruki — Alep.

Piosenka — Piosenka.

(d. c. n.)

to ludziom, którzy polują na wieloryby i foki, a z tych żaden nie zrobi tego głupstwa, aby rozpowiadał o tém przed całym światem, jeśli mu się uda wykryć nową drogę...

— To prawda. Ale jeżeli tak jest, to najlepiej nam będzie płynąć prosto na wschód, aż póki się nie dostaniemy do kanału Beagle'a, potem okrążyć wybrzeże i dotrzeć do zatoki Powodzenia, potem do cieśniny Lemaire'a. Tam prawdopodobnie napotkamy jakiś statek wielorybniczy, bo one w tej zatoce zwykle wypoczywają; ci zacni marynarze nie odmówią nam swojej pomocy, zwiędzimy całe wybrzeże, póki nie odszukamy śladów naszych towarzyszy.

— Właśnie toż samo miałem na myśli, kapitanie.

— I stanowczo jesteś tego zdania, że lepiej płynąć w tym kierunku, aniżeli na północ, do cieśniny Magellana?

— Tysiąc razy lepiej. Ażeby się dostać do cieśniny Magellana, musielibyśmy najpierw wypłynąć na pełne morze i okrążyć znowu rąfę Drogi Mlecznej, nie mówiąc już o prądach przeciwnych, którebyśmy napotkali po drodze. Tymczasem kierując się na wschód, mamy za sobą i wiatr, i prąd morski, a przytém ani na jedną chwilę nie tracimy ziemi z oczu. Popłyniemy sobie spokojnie, zupełnie jak po rzece, byle tylko ci hultaje krajowcy nie wleźli nam w drogę... A trzeba i o tém pamiętać, że wielka łódź znikła nam gdzieś w stronie południowej, to też, jeżeli ją chcemy odszukać, nie puszczajmy się na północ. Już ja wiem, kapitanie, jak panu ta sprawa gorąco leży na sercu, nie potrzebujesz mi pan tego mówić.

— Masz słusność, mój pocziwy Seagriffie, ty zawsze masz słusność! Popłyniemy tą drogą, nie zwlekając ani chwili, jeżeli wczorajsze spostrzeżenie twoje jest dokładne. A to się da sprawdzić natychmiast, wejść tylko na ten wzgórek... Henryku, pójdiesz ze mną.

— A czemużbyś i nas nie miał zabrać z sobą? — zapytała pani Ganey, mówiąc za siebie i córkę.

Biedna kobieta obawiała się niezmiernie rozłączenia z mężem, choćby tylko na parę godzin, teraz szczególnie, gdy syna nie miała przy sobie. Może też w głębi jej duszy zbudziła się mimowoli nadzieja, że wszedłszy na wysoki ten wzgórek, spostrzeże w oddaleniu łódź żaglową, wiozącą ukochanego Neda.

— O, proszę cię, ojczulku, zabierz nas z sobą — błagała z kolei Madzia.

Kapitan wahał się trochę, w obawie, aby wejście na wzgórek nie było nadto nużące dla kobiet, gdy Seagriff, ze zwykłą swoją śmiałością, pozwolił sobie wątpliwość rozstrzygnąć.

— Mogą panie iść także — rzekł — czteroletnie dziecko weszłoby na ten pagórek bez trudu.

Na takie zapewnienie, kapitan nie sprzeciwiał się więcej i obie panie wyruszyły z nim razem. Majtkowie mieli także wielką ochotę im towarzyszyć, a ponieważ nie byli potrzebni w obozie, kapitan chętnie na to zezwolił. Tylko kucharz Poluks oświadczył, że woli zostać, bo pocóż ma się darmo zamyślać łażeniem po górach.

— Ja tu sobie znajdę robotę — mówił, śmiejąc się i pokazując dwa rzędy białych zębów — a jak państwo powrócą, to i obiad zastanę gotowy.

Był to leń, jakich mało, gotów od rana do wieczora wygrzewać się przy ogniu, nigdy mu się to nie uprzykrzyło.

**TREŚĆ:** Powrót Wiesława (z drzew.) — Prawdziwe bogactwo; powieść przez autorkę Reginki (c. d.). — Babunia nowelka. — Krajobraz meksykański (z drzew.) — Sprytny Walek komedyjka w trzech aktach p. Kazimierę. — Ziemia ognista, przygody podróżników na morzu i lądzie przez Mayne Reid'a (c. d.) — Łamigłówki, rozwiązania. W Dodatku: Śpieszek (z drzew.) — Sieroty p. M. W. — Mała żebraczka, wierszyk p. Bazyliszka. — Wieczór Trzech Króli p. Zofią Urbanowską. — Łamigłówka i rozwiązanie. — Skrzynka do listów. Dodatek książkowy: Przygody młodego chłopca w szkołach z francuzkiego.

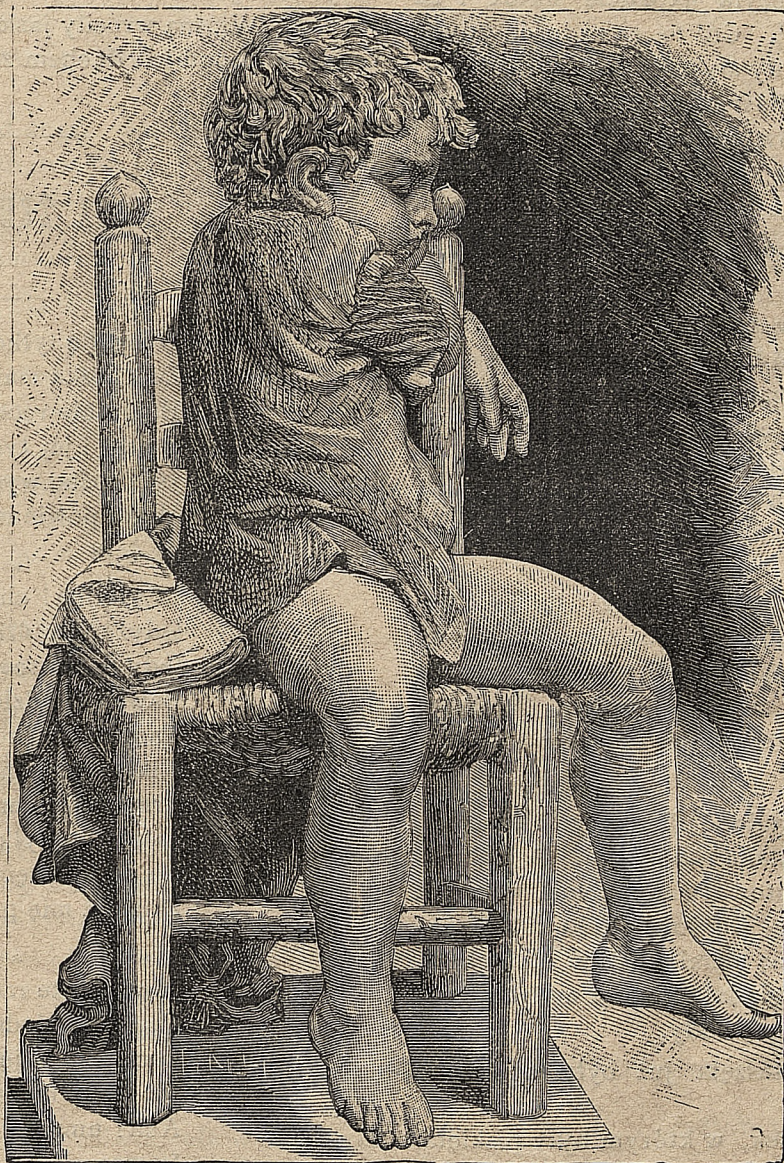


## ŚPIOSZEK.

Patrzcie, jak smacznie śpi chłopczyna, chociaż to nie musi być wygodnie spać na twardém krzeselku i w jednej koszulce tylko. Bona obudziła Maryanka, powiedziała, że już pora brać się do lekcyj, ale chłopczyk taki

## SIEROTY.

U morskich wybrzeży, w przystani wielkiego miasta portowego, stało na kotwicy kilka statków. Każdy z nich miał żagle i bardzo wysoki maszt. Na jednym z takich masztów jaskółka zaczęła lepić gniazdko.



Śpioszek.

był rozespany, taki rozespany, poziewał, tarł oczki, nie mógł ich nawet dobrze roztworzyć. Więc bona chwyciła go bez ceremonii na ręce, wyniosła do drugiego pokoju, postawiła na podłodze, a sama poszła po świeżą wodę, żeby umyć Maryanka. On tymczasem usiadł na krzeselku, główkę przytulił do poręczy i usnął. Oj, niedługo tego będzie, bo bona już idzie z wodą, przebudź się, Maryanku!

Nie łatwo jęj to przychodziło. Od rana do nocy nosiła w dziobku kawałki gliny i ziemi, a ślinką swą przyklejała je do drzewa; wykladała wewnątrz słomkami, piórkami lub puszkami.

W końcu gniazdko wykończyła. Było w niém przytulnie, i ciepło, i miękko. Po takiej pracy jaskółeczka zniosła trzy małe szare jajeczka, i siedziała na nich póty, póki nie wylęgły się trzy malutkie ptaszątka. Były prawie bez piórek, dziobki miały żółte i szeroko je rozwierały.



Nowa praca czeka jaskółkę. Teraz musi szukać pokarmu dla swych dzieci. Prawda, że to nie tak trudno. Wyleci z gniazda, znajdzie muszkę jaką lub komara, i śniadanie dla dzieci gotowe.

Ale małe ptaszęta długo wypocząć matce nie dawały. Znowu pisały, znowu jeść prosiły. Nie narzekała na nie matka i prędko znów wylatywała. Było to przed deszczem, owady opuściły skrzydełka. Jaskółeczka za nimi spuszczała się tak nisko, że zdawała się skrzydełkami dotykać ziemi. Nareszcie schwytała dwa duże wodne komary i niesie piskłętom. Ale cóż za przestrasz dla niej! Statku już nie było. Poleciała biedaczka w jedną stronę, w drugą, zobaczyła nareszcie statek i za chwilę już była z dziatkami. Cóż to za radość, gdy je znowu przy sobie miała, gdy słyszała ich świegotanie! Dobrze było w gniazdku. Niestety, nie długo to trwało, trzeba było lecieć na połów owadów. Tę razą jakoś nie tak prędko dawały się owady złapać. Jednakże zawsze kilka muszek znalazła jaskółka i dalej w drogę.

Statek tymczasem posuwał się nieustannie i oddalał od brzegu.

Poleciała jaskółeczka w tym samym kierunku co pierwiej, ale statku nie widać było. Szybko leciała dalej i z daleka zobaczyła jakiś czarny punkt. Domyśliła się co to było. Użyła wszystkich sił, żeby coprędzej tam przybyć; a tu podnosi się wiatr, miota biedną ptaszyną na wszystkie strony. To ją podnosi do góry, to rzuca na dół, to znów odepchnie. Walczyła jaskółeczka, jak mogła.

Nareszcie trochę się rozjaśniło, wiatr ustał. I ptaszyna już niedaleko od rodzinnego gniazda, już słyszy głos piskłat swoich. Jeszcze jedna chwila, i będzie już z nimi. Naraz zrywa się straszny wichur. Walczyć z nim ptaszyna już nie mogła, sił jej zabrakło i wpadła do wody.

I cóż się z piskłętami stało? Pisały biedactwa, pisały tak, że je posłyszano na statku. A był tam poczciwy człowiek, co się ulitował nad małemi, wdrapał się na maszt i zdjął gniazdo. Do domu było mu niedaleko, a wiedział, że dzieci się nimi chętnie zaopiekują. Tak się też stało. Dzieci doglądały ptasząt małych, znosiły im muszki, komary i inne owady.

Po kilku tygodniach ptaszęta już były opierzone i śmiało latały.

Dzeczki powiesiły koszyczek, w którym były piskłeta, na ganku. Ptaszki od czasu do czasu przylatywały, niby wypoczywały, a czasem niby się kłóciły, bo takim przenikliwym głosem krzyczały: ciz-ciz!

Z przyjemnością patrzyły dzieci na swych wychowańców, jak latały i szukały pożywienia. Śmiały się, gdy czasem za jedną muszką uganiały się wróbel i jaskółeczka, ale ona wszystkie ptaszęta wyprzedzi, bo żadne tak szybko nie fruwa.

Tak nieznacznie przeszło lato. Nadeszły zimne, dżdżyste dni. Dzieci myślały o tém, żeby przywabić ptaszęta do mieszkania, obawiały się, że zmarzną. Naraz jednego dnia widzą, że na sąsiednim dachu siedzą jaskółeczki i to tak dużo, że nigdy jeszcze tyle razem dzieci ich nie widziały. Widzą, że ich własne trzy jaskółeczki tam są.

Poznały swe jaskółki dla tego, że przywisały im czerwone wstążeczki na szyjkach.

— Co to będzie? — myślą sobie.

Tak siedziały ptaszki jakiś czas, świegotały, przelatywały z jednego miejsca na drugie i nareszcie cała gromadka poleciała. Unosiła się coraz wyżej, coraz dalej i znikła z oczu.

Smutne wróciły dzieci do ojca i opowiedziały mu, co się stało z jaskółkami.

— Bądźcie spokojne, dzieci one wyleciały tylko do kraju, gdzie niema takiego zimna; na wiosnę zaś znów wrócą do nas.

Jakaż była radość dzieci, gdy słowa ojca się sprawdziły. Wiosną wróciły jaskółeczki z czerwonymi wstążeczkami, i pod ich dachem zaczęły lepić gniazdko.

M. W.

## MAŁA ŻEBRACZKA,

Z FRANCUSKIEGO.

O trochę tylko chleba  
Żebraczka mała prosi.  
Błagalnie ręce wznosi,  
Bo też i jój żyć trzeba;  
Jój prośbę wysłuchajcie,  
Wnet powie wam dlaczego:

\* \* \*

Ja głodna! chleba dajcie,  
Gdyż umrę dziś bez niego.  
Gdy w wiosce święto było,  
Bawiły się dziewczęta,  
Tam każde jadło, piło,  
Nikt o mnie nie pamięta.  
Przebaczone mi, że proszę,  
Ja proszę tylko chleba;  
Że do was ręce wnoszę,  
Zmusiła mnie potrzeba.

\* \* \*

Ja wiem, że na tym świecie  
Potrzeba biedę znosić;  
Lecz jestem jeszcze dziecią,  
I z głodu muszę prosić.  
Ach! umrzeć mi nie dajcie,  
Ja was nie oszukuję;  
Ach! chleba mi podajcie,  
A powiem wam: „dziękuję”.

\* \* \*

By w sercu litość wzbudzić,  
Ja będę śmiać się nucić;  
Nie będę płaczem, nudzić,  
Bo nie powinnam smucić.  
Gdy ludzi płacz nie wzrusza,  
Ja dalej w drogę swoją...  
Gdy nie mówicie: „ruszaj”,  
Słuchajcie piosnki mojej.

Bazyliśzek.



# Wieczór Trzech Króli.

PRZEZ Zofię Urbanowską.

(Dalszy ciąg).

Winowajca stał blady i przerażony własnym czynem, Zrobił to w napaędzie złości, nie wiedząc sam co czyni, a gdy się opamiętał, już było zapóźno. On przecież kochał tę siostrzyczkę i nie chciał jej wyrządzić takiej krzywdy...

— Nie gniewaj się — szepnęła głosem drżącym — ja...

— Idź sobie! — wyjąkała wśród łkań — idź, niecierpię cię! Możesz sobie teraz zabrać królestwo! Nie chcę być królową, kiedy mojego kwiatka niema. Ach, ty niedobry!

I rzuciła mu koronę pod nogi. Ale Juraś nie schylił się po nią; pobladł jeszcze więcej i nie śmiał podnieść oczu na rozgniewaną siostrzyczkę. Chłopcy zaczęli mu dokuczać, nazywać złoŹnikiem, ale nie odpowiadał im nawet.

Pani L. posłyszawszy płacz swęj córceŹki, przyszła zobaczyć, co się stało. Musiała już coś wiedzieć, albo odgadnąć szczegóły dramatu, odegranego tu przed chwilą, bo nie pytała o nic, tylko przemówiła ze smutkiem do syna:

— Więć twoja gwałtowność doszła aż do tego stopnia!... Co ci zawinił ten biedny kwiatek, że na nim wywarłeś swoją zemstę? Jak miałeś serce skazywać na śmierć żywą istotę?

Chłopiec podniósł na matkę zdziwione oczy.

— Żywą istotę, mateczko? Czyż to kwiatek żyje?

— Jakto! nie wiesz o tém, mój synu? Alboż ci nie mówiłam, że rośliny oddychają drobnymi, niedostrzegalnymi dla gołego oka otworkami swoich liści; że czerpią z ziemi pożywienie cienkimi włoskowatymi korzonkami i piją nimi wodę? Alboż nie wiesz, że rodzą się z małych nasionek, rosną, starzeją się i okwitają, spełniwszy swój obowiązek na ziemi, że roślina bez wody i pożywienia umiera z głodu i pragnienia, jak człowiek? Wiesz to wszystko i pytasz się, czy żyje!

Juraś spuścił głowę.

— A więc — pomyślał — kwiat, który rzuciłem w ogień, był męczennikiem!

Pani L. chciała jeszcze coś mówić, ale widząc przygnębienie Jurka, dała pokój, postanowiwszy odłożyć to na jutro. Nie można też już było dłużej zajmować się tą sprawą, bo goście zabierali się do odjazdu.

Juraś tej nocy nie mógł zasnąć. Napróżno przewracał się w swoim łóŹeczku i zamykał powieki, z oczu nie schodził mu obraz kwiatka męczennika. A taki był ładny! Niebieski jego bukiet, umocowany na wysmukłej łodydze, składał się aż z czterdziestu kwiatków; każdy kwiatek był małym, misternej budowy dzwonczkiem i miał we środku aż sześć krótkich żółtych pręcików. Czterdzieści kwiatów, i wszystkie spłonęły w jednej chwili!... Zdawało się Jurasowi, że słyszy jeszcze syŹnienie biednej rośliny i widzi pożerający ją płomień.

— Jeżeli rośliny żyją — mówił do siebie — to i czują.

Musiał więc bardzo cierpieć... Jak ja się raz sparzyłem w palec, przez trzy dni mnie bolało!

Noc była pogodna, a księżyc oświecał jasno tę część pokoju, w której się mieścił kominek, pusty już teraz i wygaśnięty. Juraś odwrócił się do ściany, żeby na niego nie patrzeć.

— Mój Boże — myślał dalej — ile to czasu musiało upłynąć, żeby cebulka, którą Wandzia dostała od mamy, wydała kwiat.

Pamiętał dokładnie, jak kupiła za własne pieniądze wysoką, wąską doniczkę; jak położywszy stłuczoną skorupkę na spód, żeby woda lepiej odciekała, włożyła najprzód trochę piasku rzecznoŹego, potem sporo dobrej ogrodowej ziemi, potem znów warstwę piasku, i w ten piasek dopiero posadziła cebulkę, starannie ją nim obsypawszy dla zabezpieczenia od gnicia, a wkońcu na wierzch przykryła znowu ziemią. Przypominał sobie dokładnie, jak potem sama zaniósła doniczkę do piwnicy, nie chcąc jej nikomu powierzyć, i zakopała na kilka cali głęboko w piasek, gdzie cebulka miała się zakorzenieć w ciemności i chłodzie. Dwa miesiące czekała, aż z ziemi wychylił się twardy zielony kielik, a i wtedy jeszcze nie można było wyjąć doniczki z piasku, bo ogrodnik powiedział, że trzeba czekać na listki. Owe pięć listków pokazały się w tydzień później. Z jakim tryumfem wtedy odkopali oboje doniczkę, przenieśli ją z piwnicy do pokoju, i postawili na oknie! Pamiętał jak troskliwie podlewała swoją roślinkę codzień, i z jaką niecierpliwością wyglądała kwiatu. Ale cały miesiąc upłynął, zanim głębiak kwiatowy, podnoszący się powoli, coraz wyżej i wyżej, wyrósł nareszcie na łodyżkę, a na łodyżce ukazały się drobne pączki, które wkrótce rozwinęły się w kwiaty. I tyle oczekiwania, tyle starań, zniszczyła jedna chwila zapomnienia! Biedna Wandzia...

(d. n.)

## HOMONIMY (Skrzydlaty Pegaz).

Imię małŹonki króla polskiego,  
Nazwa utworu poetycznego.

## ROZWIĄZANIE DO N-ru 9-go.

Zadania konikowego:

Mędrsze kurczęta niż kokosz.

## Skrzynka do listów.

**Cyganeccze z nad Horynia.** Jakim sposobem liścik datowany d. 7 Stycznia doszedł rąk naszych dopiero w końcu Lutego? jest to także zagadka, trudna do rozwiązania. Odpowiedź była dobra, tylko spóźniona. Łamigłówni nie są według reguł ułożone.

**Stokrotce,** (piszącęj na papierze z bławatkami) donosimy, że ten pseudonym należy już do innej panienki, prosimy więc, aby wybrała inny i dodała do niego przy podpisie imię i nazwisko prawdziwe, abyśmy ją mogli zawsze odróżnić jeśli ma zostać sta-



łą korespondentką, bo gdyby inne różne panienki zechciały pisać pod tym samym pseudonymem, to jakże my to odgadniemy?

**Synogarliczka** trafnie odgadła zagadkę i zadanie konikowe dobrze ułożyła. Nie możemy jej brać za złe, że nas troszkę zaniedbała z powodu nauk, byle nie zapomniała o nas zupełnie.

**Dziurce, Iskierce i Różyczce polnej** przesyła pozdrowienie Synogarliczka.

**Perełka** (z Kamieńca) odwołuje się do nas w interesie, który jednak mogła załatwić prędzej daleko na miejscu, ponieważ mieszka w mieście, gdzie jest księgarnia. Botanika i zoologia Popławskiego kosztują po 60 kop. katechizm Gorzelańskiego 60 kop. Putyatyckiego 7½ kop. Książniczka rs. 2 książki te wysłać możemy, trzeba tylko dać adres dokładny i dodać kwotę stosowną na koszt przesyłki, a tego nigdy naprzód obliczyć dokładnie nie można, od książki 25 do 40 kop. przy wysyłaniu kilku książek znacznie mniej.

„**Kochana Trzpiotko!** Podobał mi się twój pseudonym, chciałabym cię poznać, donieś mi przynajmniej, ile masz lat gdzie mieszkasz, ile masz rodzeństwa? Ja mam lat 13, mieszkam w Kamieńcu, jestem jedynaczką, Twoja Perełka”.

**Psotnica** (zapewne tylko z pseudonymu) nadesłała zagadki, które wydrukujemy, jeśli się okażą bez omyłek. Kaligrafia Psotnicy bardzo się nam spodobała; żebyż to wszystkie panienki chciały pisać tak porządnie, wyraźnie, a nie maczkiem, jak to teraz jest we zwyczaju pomiędzy młodzieżą.

**Perełka prawdziwa** wybrała pseudonym troszkę niegrzeczny dla innych perełek, bo i one nie zechcą zapewne za fałszywe uchodzić. Radzimy to zmienić np. na Perełkę litewską. Czy zgoda?

**Wielkopolanek** pisze wprowadzie maczkiem, lecz wyczytawszy z tych maczków tyle miłych i ciekawych rzeczy, niepodobna jej nie pokochać. Z wielką też przyjemnością zaliczamy Wielkopolanek do stałych korespondentek. 50 kop. oddano ubogim dzieciom.

**Anusi H. w Piotrkowie.** Witamy nową korespondentkę, która wkrótce zapewne do konkursów naszych należeć zechce i wtenczas obierze sobie pseudonym. Rozwiązania zгадак są trafne. Historia literatury Mecherzyńskiego kosztuje rs. 2 bez przesyłki.

**Malinie z Siedlec** dziękujemy za szaradę i łamigłówkę, obie są dobrze ułożone.

**Motyłka z nad Sekwany** żał nam bardzo, że go tak mrozy zwurzyły. Ale wiosna musi już niezadługo do nas zawitać i Motylek znów skrzydełka rozwinię do lotu. Zagadkę wydrukujemy. Rozwiązanie naszej łamigłówni trafne.

**Stasi K. w Werezatėje.** Poprzednie liściki kochanej Stasiuni nie doszły wcale rąk naszych i dlatego jedynie pozostały bez odpowiedzi. Wielka to radość dla nas, że „Wieczory” zawsze Stasię zajmują, a Kazio czeka niecierpliwie spełnienia obietnicy, to jest przysłania odpowiedzi na zadanie konkursowe. Tylko niech Stasiunia nie zapomni dodać pseudonymu i latek swoich, bo to koniecznie potrzebne.

**Olesia z Lututowa** nie może już być Stokrotką, bo ten pseudonym należy do innej panienki. Rozwiązania łamigłówek są trafne.

**Pokrzywa** pisze bardzo ładną kaligrafią, musi też być rozsądną osobką, skoro postanawia przysyłać odpowiedzi na wszystkie zadania, bez względu, czy nagrodę otrzyma.

**Dziewanna podlaska** bardzo niepotrzebnie zwlekała z korespondencją; radzilibyśmy takich miłych liścików odbierać jaknajwięcej.

**Gwiazdeczka z nad Wilgi** będzie pewnie z czasem tak ładnie pisała, jak i starsza siostrzyczka, bo stawia duże, równe literki. Kazio dziękuje bardzo za szaradę, dobrze jest ułożona.

**Konwalii z Siedlec** prosimy o cierpliwość, łamigłówni są dobre, ale takie mnóstwo mamy wcześniej nadesłanych, że niepodobna teraz miejsca na nie znaleźć.

**Kropelkę Rosy** upewniamy, że ani jednego błędu nie znaleźliśmy w jej liściku i jeżeli go pisała bez niczyjej pomocy, to śmiało należeć może do zadań konkursowych. Firletka biała ma lat 8 nazywa się Kocia. Różyczka polna ma lat 10 nazywa się Stasia.

**Halutka S. z Krakowa** zapytuje, czy opis podróży może być w piśmie umieszczony; aby na to odpowiedzieć, musielibyśmy wprzód ten opis przeczytać.

**Śnieżycza** zapytuje, czemu w „Prawdziwym bogactwie” niema wzmianki o losie Zosi, najmłodszej siostry Reginki. Ale wzmianka ta była w Nrze 49 zeszłorocznym, w liście Hani do matki, Zosia wyszła za mąż i jest szczęśliwa.

**Krasnolica** zażenowała Kazia swojemi pochwałami. Na szczególne nie jest on zarozumiały, nie marzy wcale o świetnych powodzeniach w piśmiennictwie, życzliwość naszych czytelników mu wystarcza.

**Stefcia z Nowego Świata** żąda, aby jej łamigłówna była na tychmiast drukowana, co jest niepodobieństwem, jest w niej zresztą omyłka, bo pierwsze litery tworzą *Pam Tadeusz*, a powinno być *pan*.

**Trawka z nad Granicy** odbiera już zapewne porządnie „Wieczory” p. Bronisława P. spełniła polecenie Mamy.

„**Kochana Chmurko**” Wybacz, że Jaskółka z nad Granicy Ci nie odpowiedziała, jest ona w Krakowie na pensji. ma bardzo dużo pracy. Prosiła, żebyś ją tymczasem zastąpiła, a skoro na wakacje przyjedzie, to ci, Chmureczko, odpowie. Jaskółka nazywa się także Helenka, ma lat 15, jest najstarsza z nas 4 siostrzy i 2 braci. Kochamy ją bardzo, jest pierwszą uczennicą w 6 klasie „Trawka z nad granicy”

**Słowik** (który?) nadesłał trafne rozwiązanie łamigłówek.

**Wiktoryja Regia** ułożyła łamigłówkę, lecz jest w niej omyłka bo litera *j* nie może zastąpić litery *i* w wyrazie Marcin.

**Świtezianka** przysłała taki długi liścik do imienniczki, że go wydrukować niepodobna, bo nie zostałoby już miejsca dla nikogo. Chętnie zamieszczamy takie liściki, lecz tylko króciutkie. Kółko naszych kochanych korespondentów tak się powiększyło, że i sami, choć nieraz z żalem, musimy na krótkich odpowiedziach poprzestawać.

**Świteziance z nad Bohu** donosi imienniczka Świtezianka, że mieszka pomiędzy Bugiem i Styrem, niedaleko granicy, o trzy mile od miasteczka, gdzie się bił dzielnie Marek Sobieski i zginął słynny wódz turecki. Świtezianka ma lat 14, siostrzyczka jej Fre-gata lat 11. Mają imiona żony Jana Kazimierza Wazy.

**Gołąb z Zielnej** prosi, abyśmy łamigłówkę jego pomieścili jak najprędzej; ależ to niepodobna, trzeba, kochany Gołąbku, czekać cierpliwie kolej.

**Jutrzence** dziękujemy bardzo za wiadomość, że jej się wszystkie doświadczenia fizyczne udają, bardzo nam o to idzie, aby nie były za trudne.

**Świteziance z nad Bohu** Jutrzenka uprzejmie dziękuje za ustąpienie pseudonymu, na dowód wdzięczności przesyła jej łamigłówkę. (która później trochę będzie drukowana)

**Ex-Czapli i Pliszce z nad Gopla** serdeczne pozdrowienia przesyłają Jutrzenka, Fajka i Tabaka.

**Ukraince na Mazowszu** serdecznie wdzięczni jesteśmy, że mając tak wiele zajęć pożytecznych i o nas w wolnych chwilach nie zapomina. Artykuły przyrodnicze w „Kłosach” z podpisem M. J. Z. są w rzeczy samej pióra dobrej znajomej Ukrainki, piszącej także te słowa.

„Miłe Chwilo i Lilio wodna! Wstyd mi doprawdy, że na wasze liściki dotąd nie odpisała, lecz miałam do tego różne przeszkody, teraz więc przepraszam was za zwłokę i odpowiadam na pytania, że mam lat 15, jestem jedynaczką i kocham wszystkie przyjaciółki „Wieczorów” życzliwa

Ukrainka na Mazowszu“

## SPROSTOWANIE.

W Nrze 10 na str. 74 przez nieuwagę zecera opuszczone trzy wiersze ostatnie i podpis:

A ono było wśród ludzi na ziemi...

Ale tych ludzi zesłał w swęj Wszechmocny

Ten, co sieroce łyzy dojrzał wśród nocy.

Z. Morawska.